

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 8 WRZEŚNIA 1928 ROKU

NR 37

TREŚĆ NUMERU: Równe prawa — równe obowiązki — Z. Zaleska. Refleksje — M. H. Szpyrkówna. Te, które opuszczono (dok.) — J. Putatycz-Surynowa. Poezje: „Modlitwa ślepego lunatyka”, „Szekspir i chryzantemy” — Konstanty I. Gałczyński. Bzik pani D'Estrailles (c. d.) — Maurice Renard — przełożył Gabriel Kariski. Przed odlotem — Ewa Szelburg. Z powodu nagrodzenia prac prof. Skoczylasa — I. J. Dożynki w Spale — S. P. O. Kobieta w świecie i w domu — Z. Zaleska, N. J. i j. k. Zawodowe wykształcenie kobiet — Zofia Miszewska. Kwiaty i „kwiatki”. Współczesne gotowanie (c. d.) — Pani Elżbieta. Przepisy gospodarskie — Pani Elżbieta. Dodatek „Mody i roboty”. Po powrocie do miasta — Well. Praktyczne futerały na szczytki i grzebienie. Dodatek „Kultura Ciała”: Pogadanka kosmetyczna — Dr. J. Świtalska. Wiersz: „Wróble” — Mary. Pogadanka o potrzebie sportów w społeczeństwie — Dr. J. Giżycki. Bezbolesne porody — Dr. B. Operacje kosmetyczne piersi kobiecych — Dr. A. Klęsk. Zapobieganie chorobom zębów i należyte pielęgnowanie jamy ustnej — Dr. Dora Wiernicka. Odpowiedzi Redakcji. Dodatek poświęciowy: „Oblubieńcy” — M. Benisławska. Arkusz wzorów.

RÓWNE PRAWA — RÓWNE OBOWIĄZKI

Hasło to przyjęły po wojnie wszystkie społeczne i polityczne organizacje kobiece, przede wszystkim w tych państwach, gdzie wprowadzono równouprawnienie polityczne. Postawiony jest przytem postulat służby obywatelskiej kobiet, równorzędnej do służby wojskowej mężczyzn. Przykład pierwszy dała niespodziewanie Bułgaria, gdzie od 1922 r. obowiązuje ustawa, na której mocy kobiety od 16 — 30 roku życia odbywają 4-miesięczną służbę społeczną. Ujęta jest ona, jako „ nauka pracy ” — w zakładach sanitarnych i lecznicach, w szkołach rzemiosł i gospodarstwa domowego, na stacjach doświadczalnych i w laboratoriach badania środków spożywczych, w plantacjach miejskich, leśnictwach i t. p. Od służby tej zwalnia tylko ciężkie kalectwo i praca na utrzymanie rodziny.

U nas najpilniejszym postulatem powinno być takie ujęcie celu „służby kobiet”, któreby dało umiejętność zapobiegania niedolom, pochodzącym z braku uświadomienia społecznego, z niewiedzy, gdzie i jakie instytucje pracują w danym dziale, jak organizować pomoc w tym, czy w innym zakresie. Życie społeczne jest u nas niezorganizowane. Nasze instytucje, nasze organizacje idą w pojedynkę, nie znając się wzajemnie, bez skoordynowania wysiłków, ułożenia planu ogólnego, podziału terenów. Dlatego to tak często wyrastają gdzieś nagle dwie jednakowe placówki, gdy w innym miejscu nikt się daną sprawą nie zajmuje. Naogół nie wie się, dokąd kierować ludzi o pomoc, choć może ona być udzielona.

Konieczne jest rozszerzenie naszego międzyspółwyzyszeniowego porozumienia na wiele innych dziedzin pracy tak, jak scentralizowano dziedzinę gospo-

darczego wykształcenia kobiet w Radzie Naczelnej Gosp. Wyksz. Ale dla tego celu trzeba przede wszystkim zmienić... stosunek naszych organizacji do siebie. Miejmy odwagę powiedzieć, że są w nim fatalne zgrzyty. Umiemy się nawzajem krytykować, ale nie umiemy się sprawiedliwie oceniać. A już, gdy chodzi o organizacje o zabarwieniu politycznym... wiedzą i mówią one nawzajem tylko o wadach i brakach przeciwniczek. Fakt niesłuchanie przykry i świadczący o zaciętrzewieniu, niedopuszczalnym w organizacjach kobiecych, które — wszystkie — głoszą, że zadaniem kobiet w polityce jest wniesienie do niej czystości zasad etycznych, sprawiedliwości i zrozumienia przeciwników. Oczywiście, nie myślę tu o owej „świętej jedności”, którą osiąga się za cenę... zgodzenia się z przeciwnikiem na wszystkie jego postulaty, lub naodwrot — zmuszenia go, by się ich wyparł ze względu na „zmonopolizowany” przez jeden tylko obóz patriotyzm, czy inne takie hasło. Nie. Polki stać na zrozumienie, że są granice, poza które nie wolno iść w ustępstwach. Ale też w tem rzecz, że w granicach tych mieści się niesłuchanie wiele naszych, kobiecych spraw wspólnych.

Bardzo często spotykamy zdanie (oczywiście, pań), że, z chwilą przyznania równouprawnienia, kwestja kobieca przestała istnieć. Jest to absolutne niezrozumienie sprawy, albo świadome zamykanie oczu na jaskrawe fakty. Przecież faktem jest, że równouprawnienie mamy tylko na papierze, no i... w obyczajach. (Ach, czemu tak mało kobiet czyta tę niezrównaną analizę, jaką Grossek-Korycka dała w „Świecie Kobiecym”!). Stosunki w świecie pracy zawodowej mó-

wią o upośledzeniu urzędniczek w stopniach służbowych, o niedopuszczaniu kobiet do stanowisk sędziów i rejentów, o niższej płacy pracownic biur i przedsiębiorstw prywatnych. Był w r. 1927 dekret, usuwający nauczycielki na Śląsku z posad z chwilą zamążpójścia; był słynny dekret ministra poczt i telegrafów, żądający od urzędniczek zaświadczenia męża, czy innego opiekuna, że wolno im pracować. Mamy dotąd w prawie małżeńskim opiekę nad dziećmi, oddaną ojcu, lub radzie familijnej, a nie matce. Miałyśmy przy ostatnich wyborach do sejmu pousuwanie kobiet na miejsca dalsze, czego wynikiem jest 10 kobiet na 550 posłów i senatorów. Mamy lekceważenie naszych postulatów w sprawach tak dla nas ważnych, jak walka z handlem żywym towarem, pornografią, przestępczością nieletnich, alkoholizmem; jak sprawa policji kobiecej, oświaty gospodarczej kobiet, akuszerki wiejskich i t. d. Mamy doświadczenie z zeszłego sejmu, że o budżetowe sumy Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, przeznaczone na prowadzenie i inwestycje zakładów wychowawczych dla sierot, walczyły wyłącznie kobiety (posł. Puzynianka).

Trzeba sprawy stawiać jasno. Nie chodzi tu o jakiś feminizm. Nie walka płci, lecz przymierze równych z równymi jest hasłem organizacji kobiecych, domagających się miejsc dla swoich przedstawicielek w ciałach ustawodawczych i samorządowych. Chodzi o te dziedziny, w których tylko kobieta znajduje radę i pomoc dla pokrzywdzonych, bo ona te krzywdy widzi. Mężczyźni—nawet bez złej woli—nie umieją ich dostrzec, bo one nie ich dotyczą, lub nie tak bezpośrednio są odczuwane.

Sprawa kobieca zatem istnieje, a temsamem istnieje podwójny obowiązek służby społecznej dla kobiet. Nie jest to postulat, wysuwany tylko przez świeckie organizacje. Jeśli zajrzymy do statutu Zjednoczenia Katolickiego Kobiet Włoskich, przekonamy się, że woła Ojca Świętego jest, by katoliczki otrzymywały potrójne wykształcenie: religijne, rodzinne i społeczne. Statut mówi wyraźnie, że „nauka życia rodzinnego” winna przygotować kobiety do: „wychowania religijnego, moralnego i higienicznego dzieci”, oraz do „zarządu domu, który powinien być świątynią rodzinną, zbudowaną na znajomości higieny, porządku, pracy domowej i przezorności”. Wykształcenie społeczne winno rozwijać w członkiniach „poczucie odpowiedzialności wobec polepszania, lub pogarszania się warunków życia religijnego i moralnego Ojczyzny”; winno „pobudzać do współpracy w instytucjach cywilnych kraju”, nakłonić do „zrozumienia tej działalności społecznej, jaką kościół prowadzi” i „do zrozumienia zawodu, w jakim dana członkini pracuje, jako cząstki działalności całego społeczeństwa”.

Statut wymaga dalej „badania kwestji kobiecej”, celem opracowania, jakie działy pracy może prowadzić kobieta bez szkody, przeciwnie, z korzyścią dla życia rodzinnego; wymaga znajomości szkolnictwa krajowego, działów opieki społecznej i dobroczynności, ze specjalnem uwzględnieniem działu opieki nad dzieckiem i matką i spraw ochrony pracy.

Oto ramy działalności, zatwierdzone przez Stolicę Apostolską. A zatem i nasze postulaty nie są... megalomanją.

Z. Zaleska.

M. H. SZPYRKÓWNA

REFLEKSJE

Człowiek, który twierdził, że każde miasto ma swoją twarz, miał stokrotnie rację. Jeszcze większą miał jednak ten, który doszedł do wyczuwania odrębności duszy każdego miasta. W chwili, gdy to piszę, jestem niejako w atmosferze innej duszy — duszy poznańsko-pomorskiej, bezwzględnie, ach! bezwzględnie odrębnej od naszych królewieckich dusz miejskich, żeby już mówić po Maeterlinckowsku, wzorując się na jego Duszach Cukru i Duszach Wody.

Muszę z punktu wyznać, że byłam i jestem nadal gorącą zwolenniczką wszystkiego, co poznańskie. Wynikło to, mam wrażenie, jako sprzeciw na skutek wielu szykan i głębokiego niezrozumienia, jakiemiśmy przez czas pewien, po zjednoczeniu zewnętrznem, dzielili wewnętrznie od naszych braci z pod zaboru pruskiego. Manifestowaliśmy naszą — podległą wielkiemu pytajnikowi — wyższość w sposób, który mógł

i powinien był buntować poczucie sprawiedliwości w bardziej obiektywnych jednostkach. Trzeba było czasu, opamiętania i perswazji zarówno w prasie, jak w stosunkach prywatnych, ażeby wytłumaczyć pawiemu piórku naszej próżności, że mniej ozdobne rzeczy są nieraz jednak bardziej zasadnicze. Teraz, zdaje się, wzajemna transmutacja cech zakordonowych jest już nareszcie na normalniejszej drodze: wszyscyśmy się przekonali, że Poznańskie ma zalety, których brak Kongresówce, i że, nawzajem, Królestwo posiada cechy, któreby się przydały byłej dzielnicy pruskiej.

A jednak, mimo to zniesienie granic zewnętrznych i wyrównanie pod wieloma względami ostrych rozdziałów, nieoznaczonych żadną mapą, lecz niemniej istotnych: mimo to, różnice — zostały. I dusze miast zachowały swoją odrębność, zaznaczoną wyraźnie i narzucającą się widzowi odrazu.

Nie potrzebuję mówić, że, jako typ, małe miasteczko poznańskie może być wzorem dla małego miasteczka z Kongresówki. O pierwszym się powie: miasteczko. I słusznie: bo jest minjaturą miasta. O drugim się powie: miścina. Bo jest karykaturą miasta.

Miasteczko poznańskie jest zacisznem, tonącym w zieleni, dobrze zabudowanym, maleńkiem miastem. Ma ładny dworzec, tunele, brukowane ulice, murowane, dobrze utrzymane domy. Ma ogród miejski, nie raz bardzo starannie urządzony, doskonałe szosy, komunikację autobusową i wiele aut, nadających mu ciąglemi przejazdami charakter pewnej zamożności i ożywienia. Ma wiele ciekawych, starych kościołów, zamków, zabytków i rzeczy te utrzymuje i podtrzymuje. Ale, nadewszystko, ma — inną duszę.

I jakąż jest ta inna dusza?

Jest przede wszystkim — uporządkowana. W małym miasteczku poznańskim życie jest hierarchiczne i patryarchalne. Przed małymi domkami w zielonych ogródkach siedzą na ławkach i wyplatankach solidne gospodynie i, migając drutami, prowadzą spokojne sąsiedzkie pogawędki. Niema krzykliwych kłótni, brudnych dzieci w kałużach, pijanych awantur. Pan fryzjer w białym fartuchu, stojąc w progu swego zakładu, przygląda się flegmatycznie panu piekarzowi w białym kołpaku, czytającemu przez zesunięte z nosa okulary gazetę z miejscowymi sensacjami. Znają się wszyscy między sobą: i pan aptekarz, i pan doktor, i właściciel ansztaltu o nazwie „Droguerja“, i właściciel ansztaltu o nazwie „Conditorja“ — w miejscowym volapüku niemiecko-polskim, który, jak dziecko, musi dopiero wyrosnąć do prawdziwej, dorosłej polszczyzny. Ale serca pod niemieckimi zlekką pozorami są jednak szczerze polskie, ba!.. niesyte jeszcze swojej niedawnej, trudno zdobytej niezależności. I jakkolwiek interes skłania niejednego właściciela instytucji, służącej obu rodzajom klientów: polakom i niemcom, — jak kawiarnia, fryzzeria, hotel itd., jakkolwiek interes skłania ich, i słusznie, do równorzędnego reprezentowania obu języków w napisach, gazetach, mowie: to jednak polskość istotna jest tam, mam wrażenie, bezpieczniej obwarowana, niż wśród najbardziej demonstracyjnej polonizacji. Co innego, że Niemcy tej tolerancji wobec swoich mniejszości nie stosują. I że wołałabym, aby w polskich miasteczkach, u siebie, Polacy wzwyczajali się do stosowania mowy polskiej w stosunkach ze współobywatelami bez różnicy ich narodowości. Pod tym względem jednak Pomorze i Poznań, same przyzwyczajone do Niemczyzny, są jeszcze zamało wrażliwe. Co krok spotyka się tam, po sklepach i instytucjach, ludzi, odpowiadających na skierowane, naturalnie po polsku, pytanie, czy żądanie:

— Versteh' nicht polnisch! Karl, komm mal hier! On zaraz będzie wszystko wytłomaczył.

Ale mam wrażenie, że są to jeszcze niedobitki pozaborowe, które ustępują, w miarę spolszczenia by-

łych obywateli niemieckich przez szkołę i samo życie. Kłują niejako przykreimi kolcami naszą wrażliwość narodową. I może słusznie. Ale poza kolcami, musimy przyznać, że jednak niemieckie rządy wypielegnowały na polskim gruncie niejedną różę, która... oby nie zdziczała zbyt prędko! I o tem właśnie należałoby powiedzieć słów parę.

Nie trzeba mówić o tem, że, większością, Niemcy zastali nasze miasteczka drewniane, a zostawili — murowane. Szosy poznańskie są słynne. Porządek wzorowy. To, co dotyczy zewnętrznej, cywilizacyjnej gospodarki, niewątpliwie stało tu wyżej, niż gdzieindziej. Istniał też pewien rygor — ład życia i karność społeczna. Niestety! musimy odrazu wyznać, że polskie rządy do tego porządku i karności nie do dały nic, a przeciwnie, pozwalają nawet wprowadzonemu już ładowi niszczyć pod wpływem bezkarności i niedbalstwa. Co krok spotyka się jakieś wyrwy w murach, szczyrby w sztachetach, gruzy domów i zaniedbanie wszelkiego typu w parkach, instytucjach społecznych i miejskich, i słyszy się słowa:

— Za Niemców to było inaczej!

I — co gorsza — z ogólnego stanu rzeczy znać, że istotnie było to inaczej. I że rozpadające się powoli cegielki, nie cementowane natychmiast baczem, nieznoszącem ruiny i zniszczenia, okiem praktycznego Niemca, grożą poważnem zarysowaniem się gmachu świetnie zabudowanej i zagospodarowanej naszej zachodniej dzielnicy.

I — jest mi oto przykro. I — jest mi oto żal!

Patrzę na spokojne, dostatnie, ukonstytuowane życie tych małych, czystych miasteczek, przypominających mi zagranicę. Na ich obywateli — drobno mieszczańską, ale tradycyjną, patryarchalną brać. Tę właśnie sferę, która u nas, w Królestwie, bardzo szwankuje na kulturze — a która tu już się opierzyła i wygodniała w świadomych swej wagi i powagi obywateli. I żal mi jest ich czystych, dostatnich mieszkań, zielonych ogródków, niedzielnej kawy popołudniowej i spokojnego, cichego, ułożonego trybu. Trybu, włożonego do ponoszenia pewnych ciężarów w imię korzystania z pewnych przywilejów swego małego państewka mało-miasteczkowego. Trybu ludzi, nawykłych do silnej władzy i ścisłego rygoru w życiu publicznem.

I nie wiem jeszcze, jak, ale trzeba, trzeba koniecznie, ażeby zwrócono u nas baczniejszą uwagę na rządy nasze w tej właśnie dzielnicy. Aby czyjeś uważne oko podniosło cegielki rysujących się już tu i ówdzie murów ładu pospólnego. Aby powstrzymano wczas dalsze dzieło chwilowego może zaniedbania. Ażeby uchronić tę odrębną i po swojemu, właśnie przez swoją odrębność, dodatnią duszę dzielnicy poznańskiej i pomorskiej, od której się wiele możemy nauczyć w zestawieniu z wrzaskliwym, niechlujnem i ubogiem bytowaniem miścin i miścidełek, obficie szpecących nasz kraj.

TE, KTÓRE OPUSZCZONO...

— Jak długo dziecko pozostaje u „nourrice“?

— Ograniczeń niema. Zdarza się, że pozostają u niej przez lat kilka. Co do opłaty — to matki płacą regularnie, przeciętnie koło 100 fr. miesięcznie (40 fr. dopłaca „Service Social“). Czasem alarmuje „nourrice“ Opiekę, że matka zaległa z opłatą. Szukamy matki, zmieniała adres. Docieramy do niej w końcu i pytamy:

— Dlaczego nie płacisz? — i słyszymy odpowiedź:

— A bo zabacyłam.

Tymczasem tracimy kontrolę nad dzieckiem, bo „nourrice“ zwraca je Service Social. Rozpacz matki, poszukiwania. W końcu dostajemy telefon z informacją. Matka uszczęśliwiona, zaopatrzona w pieniądze, jedzie, a... w kilka dni nadchodzi rozanielony list od „nourrice“:

„Wszystko w porządku“.

— Zdarza się, by matka chciała dziecko odebrać?

— Zdarza się i często nawet. Procedura odbioru jednak nie jest zbyt łatwa. Po pierwsze, Service Social bada, czy matka posiada środki na utrzymanie dziecka; po drugie — wymaga zwrotu 300 fr. za każde 14 miesięcy (Francja niechętnie zwraca małego obywatela). Czasem, za interwencją konsulatu, repatriowane nielegalne małżeństwo odbiera dziecko. Czasem odbierają dzieciaka tacy, co to dopiero teraz ślub biorą. Czasem odbiera sama „opuszczona“, żeby było przy niej, koniecznie!

— A jak z repatriacją?

— „Opuszczone“ nie chcą wracać do Polski. Wiedzą, co je z „nieslubnym“ w Kraju czeka. A przytem: „przeciek pieniądze my tu przyjechały robić“

— A dobre z nich pracowniczeki?

— W każdym razie wykwinęta służbą nie są, nie mają ani znajomości kuchni, ani znajomości języka francuskiego, nie są czyste. Wzajemnie zaś stawiają wymagania kolosalne (pensje wygórowane, oddzielny pokój i... wino!) Z chwilą, gdy mają dziecko, redukują trochę z wymagań. Wogóle cel, jaki znajdują w wychowaniu dziecka, dobrze na nie wpływa i „ustatkowują się“.

— Ustatkowują się? Pod jakim względem?

— Ich moralność pozostawia wiele do życzenia, niestety! Są takie, które mają kilkoro dzieci z różnymi ojcami. Informacje pielęgniarek w szpitalach też nie świadczą dodatnio. Największy procent matek, opuszczających dzieci, stanowią angielski i... polski; potem kolej na czechosłowacki. Wcale nie opuszczają swych dzieci włoski.

Nie dodały pielęgniarki jednego: że rekord biją francuzki (mnóstwo nielegalnych urodzin i porzuconych dzieci).

— Jak wpływa „Opieka“ na umoralnienie?

— Przedewszystkiem namawia na chowanie dziecka. Są dwa powody, dla których matki porzucają dzieci, i trzeba przedewszystkiem im zapobiegać. Pierwszy powód — to brak środków do życia. Daje się im więc pracę i rozciąga opiekę nad zawieraniem kontraktów przez wyrobnice rolne. Wyzyskiwano je, płacąc 100 do 150 fr. miesięcznie, tak że nie mogły dziecka utrzymać. Obecnie kontrakty zawierane są za pośrednictwem „Opieki“ (300 fr. do 350 fr. za damy miesięcznie). Skutek jest ten, że nie wszystkie, nawrócone na prawą drogę obowiązku, opiekują się obecnie dzieckiem z miłości: dużym czynnikiem przekonywującym jest obawa dostania się na „czarną listę“ w „Opiece“. Bo potem — kto da pracę?

Drugim powodem jest złe prowadzenie. Pod tym względem wpływ nadzwyczaj umoralniający wywiera „Ognisko“, organizując zebrania oraz wycieczki.

— Te, które nie zwracają się o pomoc do „Opieki“, czy robią to z braku zaufania do niej, czy z braku wiadomości o jej istnieniu?

— Są wypadki, że nie wiedzą o naszej instytucji; szukamy ich, zmieniają adresy, ślad ginie. Czasem dowiadują się zapóźno i są wyzyskiwane. Naprzykład jedna dziewczyna padła ofiarą sage-femme, która ją objaśniła, że, jako polka, nie ma prawa do opieki Service Social (do Asylum, szpitala i t. d.). Pobrała więc od niej za kurację, wyprawkę, kołyskę i wózek(!) 1.500 fr. Pozatem umieściła dziecko „u swoich“ tak daleko, że bilet sam kosztował 130 fr. i matka odwiedzić dziecka nie była w stanie. Pracowała ponad siły, by tym kosztem wydołać. W końcu odnalazła nas, pojechała na koszt „Opieki“ do dziecka, odebrała je (wózka jej nie oddano). Wystaraliśmy się dla niej miejsce znacznie lepiej płatne, a dziecko umieściliśmy u polki pod Paryżem.

A potem „panienka“ z „Opieki“ poszła do „tej pani“ i radziła dalej podobnych „ułatwień“ kobietom nie wyswiadczać. Sage-femme przestraszyła się i... nawet trochę pieniędzy oddała.

Co do braku zaufania do „Opieki“ to... to zyskać je nie tak łatwo. Naprzykład w maju, po święcie socjalistycznym, wizyty robotników w szpitalu zrewoltowały mi kilka matek, które wymyślały na Polskę, na Rząd i na... „Opiekę“.

Następnie są matki, które mają manję umieszczania dzieci na własną rękę u „znajomków“. W końcu spróbowały u nas. Teraz są szczęśliwe — bo: „dzieciaki im zdrowe, a dawniej chorowały“. Rezultat taki, że zyskujemy ich zaufanie i przywiązanie.

— A ojcowie?

— Wszystkie „opuszczone“, chcą odnaleźć ojców swych dzieci. Każda, coprawda, wymyśla: „A niech go tam piorun trzaśnie!“ i każda... szuka gwałtownie, choćby przez policję, i żadna... nie odnajduje!

— Jakiej narodowości są ojcowie?

— Przeważnie polacy. Czasem francuzi. Jeżeli w „Service Social“ dowiedzą się, że ojciec jest człowiekiem zamożnym (czasem bywa nim „patron“*), wstrzymują się od udzielania zapomogi miesięcznej. A ojciec (mimo, że człowiek zamożny) nie chce dopomagać. Kto mu co zrobi?

I matka zostaje zupełnie bez pomocy, „opuszczona“ moralnie i materialnie.

Niedawno kobieta miała dziecko z 16-letnim chłopcem (francuzem), synem pracodawcy. Piszemy do ojca. Zjawia się pan dystyngowany i wielce „honorable“, z wstążeczką Legji Honorowej... i tłumaczy, że nas błędnie poinformowano — to „dziewczyna“ złego prowadzenia, a syn?—dziecko szesnastoletnie! wykluczona możliwość ojcostwa w tym wieku, i t. d., i t. d.

Podejrzana była jednak skwapliwość tego pana, z jaką pośpieszył na pierwsze nasze wezwanie. Z pomocy jego trzeba było zrezygnować.

Jak wogóle z pomocy tylu, tylu innych ojców.

Czy to nie ironja, że płaci z własnej woli za dziecko jeden tylko ojciec, którego „ona“ opuściła? Role zamienione: on jest tym, którego „opuszczono“ i który ponosi sam ciężary obowiązku.

Nasze polki mają wogóle międzynarodalne powodzenie... u polaków, u francuzów. Był i czech. Konsulat Czecho-Słowacki tłumaczył nam, że gdyby wypadek miał miejsce u nich w kraju, ojca pociągnięto by do odpowiedzialności, gdyż jest u nich prawo, obowiązujące ojca do płacenia kosztów utrzymania dziecka narówni z matką; ale na terytorjum Francji prawo to traci swą moc.

Jednakże... ściągnięto od niego pewne miesięczne „quantum“. (Ona już wtedy mieszkała... z rosjaninem). „Embarras de richesse“.

Smutne międzynarodalne powodzenie!..

* * *

A teraz na, zakończenie, by pod miłym wrażeniem rozstać się z Sekcją Macierzyńską i widzieć owocną wydajność jej pracy — kilka słów o dobrych matkach.

Tak, są dobre matki. Jest ich dużo. Są i matki idealne. Te ostatnie oddają dzieciom wszystko, co tylko zarobią, i niemi tylko żyją. Przesyłają im ubranka i bućniczki (czasem nawet wykwiłtne). Jeżdżą do nich, odwiedzają je... a w międzyczasie listy czułe, troskliwe posyłają. A ponieważ wypisać się takie matczyńsko nie umie, więc „panienka z Opieki“ list pisze. I za to pośrednictwo, za to ułatwienie kochają one swoją „Opiekę“.

Kochają ją i za to, że im samym, „opuszczonym“, dobrze tu, jak w domu, jak u swoich. Bo to ściany

w izbach bielone, jak w Polsce, i Matka Boska Częstochowska ze ściany pogląda. A dalej na obrazkach same swojaki:

A to chłop w czapie baraniej krówkę na jarmark pędzi...

A to za szynkwasem żydek gra na skrzypcach...

A dalej dziewczuchy z parobkami wytańcowują...

A to na drabiniastym — dzieucha z grabiami...

A to ludzie miedzą do kościoła idą...

A to...

O la Boga!.. Tak ci daleko od tego... Tak daleko... Już tam nie wrócą ze swoją hańbą, ze wstydem!

Ale choć ano na to popatrzeć, a z Panią i z Panienką z „Opieki“ pogadać!

Chodzą ci one, te panie z „Opieki“, w białych fartuchach, kieby aniołowie z nieba, i uśmiechają się do człowieka, uradzają, czasami zburczą, jak należy, jak potraza, ale po dobroci...

Bo jakże i czasem gniewać się muszą, jak taka przyjdzie i na chłopca swego klnie, a wymyśla, że nie daj Boże!..

To pani Gniewińska zaraz:

— A przestaniecie mi wymyślać, pani taka, a taka... czy nie? Cóż pani sobie myśli, że ja też tak nie potrafię?... Oho!.. bo jak ja zacznę—to co będzie?

A płakać też nie pozwala.

Wytłumaczy, przełoży i potem mówi:

— A teraz niech no mi się pani uśmiechnie. O, zaraz tak pani inaczej wygląda! Taka zapłakana, to do niczego.

Czasami to i pani z „Opieki“ nie dziwi się, że oczy zachodzą łzami... bo jakże? Leży ci taka „opuszczona“ w szpitalu, naszło ci na człowieka przebrzydłe choróbsko (tyfus) i niepokoi się: co z dzieckiem jest? co z dzieckiem będzie?

Albo zapomni taka matka odnowić „prośby o zapomogę“ i musi płacić sama 140 fr. „nourrice“. I płaci, płaci wszystko, co zarabia, płaci...

A raz takiej biedaczce zmarło się.

Umierając, powierzyła „Opiece“ swoje maleństwo. Tylko „Opiece“... swego synka małego... z którym nazawsze trzeba było się rozstawać...

Więc ma „Opieka“ swego wychowanka, który sporym już jest chłopaczkiem. Płaci za niego 140 fr. miesięcznie (duży to ciężar w budżecie Sekcji Macierzyńskiej).

Panienka z „Opieki“, cieszy się, bo wysyła pupila do Sierocińca do Polski!

Jaka radość! jeden mały obywatel zwrócony krajowi.

Jaka radość! I zmarła napewno cieszy się, że dziecko do swoich wraca.

Choć ono... choć ono!.. bo jej, „opuszczonej“, za grzechy sądzonem było na cudzej ziemi nazawsze pozostać.

Paryż, Lipiec 1928 r.

*) „Patron“ — chlebodawca.

KONSTANTY I. GAŁCZYŃSKI

MODLITWA ŚLEPEGO LUNATYKA

*Który kwiatom woń dajesz, uśmiechy owocom,
dniom jasność, zaś ciemność przeraźliwą nocom —
oddaj mi oczy moje, oczy zamyślane,
wiecznie w księżyc patrzące i wiecznie zielone.*

SZEKSPIR I CHRYZANTEMY

*Kiedy nocą odpływał okręt do Arabji,
od fajerwerków huczną, a od bólu niemą,
długo jeszcze z pokładu twoje oko wabił
lunatyczny kochanek z białą chryzantemą.*

*Nie wierz temu kwiatowi: kochanek cię zdradza,
„prądem rzek obojętnych niesion w ujścia stronę“ —
choć zielone twe oczy i usta czerwone,
jak nad tobą jest jego, nad nim — inna władza.*

*Morze jest teatr z wody i na tym teatrze
pójdzie grać swoją sztukę pośród trąb Szekspira —
ty jesteś taką małą, ty jesteś, jak lira, —
jego śladów na piasku żaden wicher nie zatrze.*

*Nie wierz mu: on jest wściekłym kochankiem Rimbaudów,
tyś jest sercem, zgubionem na plaży pochylej;
jego oczy są straszne, twoje — tylko miłe —
on — to posąg, i duma, i klęska narodów.*

*Nie płacz, przestań! bo przyjdą jeszcze cięższe noce —
wszak miłość jest cierpieniem, nie fraszką jałową.
Dosyć, kiedy, smakując zamorskie owoce,
usta sobie przypomni, soczystsze nad owoc.*



MAURICE RENARD

3)

BZIK PANI D'ESTRAILLES

przełożył Gabryel Karśki

Verluys! Przypominałam sobie teraz. Słyszałam to nazwisko w Rouvres. Mówiono tam o markizie, jako o dziwaku-pustelniku, stroniącym od ludzi, zakopanym, jako jaźwiec w norze, w swym samotnym pałacu. Podzieliłam się swem odkryciem z panią d'Estrailles.

— Doskonale!—zauważyła. — Ale markiz i nasz musicus jedno stanowią. Spójrz oto.

Istotnie, widniała tam we wnęce, pośród ksiąg i farfurów, fletnia starodawnego kształtu. I, jakgdyby grajek był ją zostawił na nutach, fletnia owa spoczywała na tomie *Metamorphoz*, rozwartym na stronicy z wizerunkiem nimfy Syrinx, przemienionej — przed oczyma rozczarowanego bożka leśnego—w kępę bzu.

Pani d'Estrailles, wyłożywszy mi treść ryciny, pograżyła się nanowo w swe srogie zamyślenie.

Oczekiwanie przecie nie potrwało długo. Umiliłyśmy je sobie przyglądaniem się gromadzie jeleni, które zbliżyły się tuż pod pałac—tak, że jedna z łań poważyła się wrazić swą wdzięczną główkę w szparę rozchylonych drzwi. Mirza spłoszyła ją nierozumnie.

Używały tu sobie zwierzaki podufale, jakoby w ziemskim raju. Imaginuję sobie naszego gospodarza tak, jak rytownicy zwykli przedstawiać La Fontain'a, tedy otoczonego łaskawemi zwierzęty. Zgodzisz się, iż pokażna peruka osobliwie takowej akcepcji sprzyjała. O czem właśnie rozmyślałam w chwili, gdy się pan de Verluys nanowo ukazał, niewięcej, dalibóg, uczyniwszy szmeru, niżeli owa piękna łania.

Niósł ci nasz amfitryon w swej kobiałce owoce wyborne, a przedewszystkiem najprzedniejsze, zgoła niedorównane, winne grona. Łaskę dzierżał pod pachą, a w dłoni jego plaster miodu wyglądał, jak promień słońca; pszczoły jeszcze się na nim tam i sam trzymały, gdy inne polatywały wokrag. Śmiał się im pan Verluys śmiechem nosowym, niefrasobliwym i jakoby prymitywnym, odsłaniającym olśniewającą białosc zębów. Złożył swój plon na stole wraz ze zbanem świeżej wody i flachą wina czerwonego; gdy mu w tym trakcie na ramieniu przysiadł motyl, prztyczkiem spędził go do lotu.

Jakże ci odmalować to, co nastąpiło?.. pokuszę się jednak.

Pan de Verluys zasiadł pomiędzy nami... I czar jego począł z miejsca działać. Nie twierdzę, iż działał sam wyłącznie, bez sukursu czerwonego wina, południowej godziny, płomienistości jesieni, bliskości tuczy, Natury w swej sile i wszystkich tych zbudzonych od niej jakiegoś czasu poruszeniach. Przecie wypada przyznać, że ten szczególny człek pociągał ku sobie, jak żaden. Co do mnie, dałam mu odpór tem łacniej, iż

pani d'Estrailles bardziej go okupowała i sama nie skąpiła awansów. To nie do wiary: popadła w ono lenno w mgnieniu oka i tak mocno, że od samego zaczątku—przeczułam fatalny finis! Jakież to był Don Juan? Cóż w nim tkwiło nieodpartego? W tem przybraniu czemuż to nie wydał mi się ani chwili pocieszny, i czemuż to nasze paniers, nasze świecidła i nasze muszki wydały się nieprzystojne obok jego staromodnego obleczenia?.. Pachniało odeń mchem, ziemią, lasem, zwierzem-samcem. Koronki jego kołnierza rozchyłały się nad piersią brunatną; u mankietów zasię opadały na dłonie gibliwe, wszakoż krzepkie a stwardziałe, jako miewają ogrodniki. Cóż owo w nim było?

Było-ć w nim, niewątpliwie, coś niezwykłego, zawilego: zapewne ten kontrast między księciem, a drwalem, których łączył w swej postaci. Wszakże przede-wszystkiem, mniemam to, miał ci on to do siebie, iż nie był ani brodaczem, ani gołowasem, lecz zuchem istym, który oto ukazywał się przy boku marszałkowej, do wszelakiej okurencji swą complicitas dzierżąc dla niej pogotowiu.

Dziś jeszcze nie pozbyłam zdumienia, wywołanego we mnie zachowaniem się pani d'Estrailles. Wola ci trzymać mię za niewiniątko: nie sądziłam, by zmysły mogły nad nami tak rychło prym odzierzeć i do takiego stopnia, iżby się nie było już panią swego mdłego ciała... Ludwika zjadła kilka ćwiartek jabłek, umazanych miodem, i wychyliła co-nieco onego przedniego wina; kompanjon zasię ostrzeliwał ją dwornie kwiecistemi komplementy i osnuwał tkliwemi, a wraz władczemi spojrzeniami, od których traciła głowę. Usiłowałam—surowemi grymasy, a niespokojnym oczu wyrazem—przywrócić ją ku poczuciu przystojności; nic nie wskórałam. K'temu-ć kawaler dowcipem obdarzon był arcy-szczodrze; pochop do śmiechu zapalał się we mnie nieraz w momencie, gdy raczej surowość byłaby przystojna... Wkońcu to wszystko stało się już nieznośne. Czułam, jak mi lica płoną, do głowy jęły uderzać wapory. A że, ostatecznie, ani marszałek, ani jego adjutant nie zwierzali mi swych amorów w opiekę, poprosiłam pana de Verluys o licencję na drzemkę popołudniową, czego wobec ulokowano mię z pieczołowitą atencją w obszernym fotelu.

Co będzie dla cię niełatwe do wiary, to to, że zasnęłam rzeczywiście, który to fakt nie mógł zostać sekretem. Powiadam ci, że wszystko konspirowało wiktoryji markiza ku woli! Tak, znużenie przemogło nad czujnością (czytaj: ciekawością, przewrotną białko!), i ocknęłam się cale późno.

— Ludwiczko! — zawołałam.

Wieczór zapadał. Byłam sama. W tejże chwili ukazali mi się pani d'Estrailles i pan Verluys, drobnymi krokami wychodzący z gaika. Pobieżałam im na spotkanie,

— Późna już godzina — rzekłam. — Chodźmy. Nasza kolasa z pewnością jest już jaknajdokładniej naprawiona...

Pani d'Estrailles włosy miała zmierzwiłone niezgorzej. Powieki jej były sinawe, policzki zaś purpurowe. U wolantów jej sukni widziałeś zaczepionych niemało ździebeł mchu. Myślisz atoli, że spuściła wzrok, zasromana? Trzeba znać Ludwiczkę!

— Chodźmy! — rzekła poprostu.

Podczas jednak obejmowała markiza pełnem namietnością spojrzeniem.

Byłam wręcz osłupiała. Imaginuj sobie, jak niemądrą miałam minę!

Pan de Verluys odprowadził nas aż do portalu, wśród powszechnego milczenia. Pod żelazną tarczą herbową pożegnałyśmy się z nim. Uniósł ku wargom, niemal wbrew mej woli, moją dłoń, okrył gorącemi pocałunkami obie rączki marszałkowej, zaczęł, oparty o kratę, poglądać za naszym odejściem.

Odwrócono się, by raz jeszcze spojrzeć ku niemu i ostatniem pożegnać go skinieniem, poczem

gęstwa leśna zawarła się nad starym murem i szliśmy wciąż dalej w milczeniu.

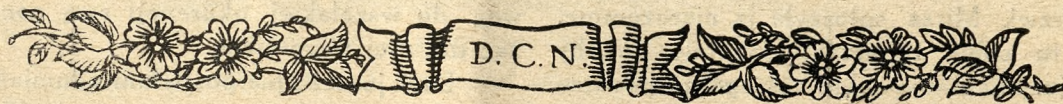
Oczekiwałam niejkiej ekskuzy, wyrazów zaufania, choćby pochwały mej dyskrecji... Nic! Ślicznotka daleko zajędzie, ręczę ci. Kochliwa, jak kotka, wyniosła, jako lwica, piękna to bestja drapieżna, nieopisana przez pana de Buffon, lecz o której jeszcze niemało usłyszysz.

Śpieszyłam się, mimo upał, dech w piersi tamujący. Lecz oto nagle w głębi boru ozwała się fletnia, i musiałam zwolnić kroku i słuchać jej, aby nie odalić się od mej towarzyszki.

Tandem wypadło mi przyznać, iż p. de Verluys bosko grał i że to melodyjne pożegnanie warte było, by mu nastawić uważnego ucha. Jakież to narzeczemuzyka! i ileż potrafi wyrazić materji, których słowo niemocne jest wyłożyć! Z onym sukursem dźwięków, rytmów, fjoritur, arpedżów i trelów markiz oto pisał do pani d'Estrailles bilecik wdzięczny i płomienny.

Gdy ostatnie tony tryumfalnej effuzji przebrzmiały, spostrzegłam, iż trwamy nieruchome, i uczułam niezadowolenie, jakoby z popełnionego grzechu. Pani d'Estrailles uśmiechała się figlarnie.

— Moi ludzie — mruknęłam — będą okrutnie zaniepokojeni!..



EWA SZELBURG

PRZED ODLOTEM

Biała kropla, drżąca na ostrych koniuszczkach igieł jodłowych — to rosa.

Czerwone krople, leżące nieruchomo na miękkim mchu — to poziomki.

Jest jeszcze ruchliwa, niebieska plama — to góralka, wplątana w wiklinowe zarośla na urwistem zboczu.

Pozatem tylko ciemna zielen i cisza lasu, pustka białawej drogi i skrętnie wijący się, śliski zapach złotawej łaby, ukrytej wśród wyniosłych olch i płaskich kamieni. Zstępujemy powoli drogą od Cerkiewki ku Zdrojowi. W ręku Juki dzwoni szklany kubek, bo już właśnie pora... Wtem pod wyniosłą sosną spostrzegamy coś białego od spodu, a brązowego z wierzchu. Grzyb? Ależ nie, góral z koszem.

— Czereszni! dobre, czorne czereszni! — zachęca jakąś letniczka, spragnioną „witamin“.

Letniczka długo, nieufnie bada zawartość koszyka. Wreszcie wyprostowuje się. Już się zdecydowała.

— Nie kupię — oświadczam.

— Czemuż? — dziwi się nieprzyjemnie góral.

— A temu, że to pewnie czeresnie z czeremchy (!), a nie z wiśni (!!).

— Jakże to? — wpada w osłupienie właściciel czeresni.

Nie dziwiłby się pocziwiec tak bardzo, gdyby był ze mną wczoraj w sklepiu, gdy kupowałam miód. Na pytanie, czy jest miód? młody sprzedający uśmiechnął się uprzejmie:

— Owszem, pani dobrodziejko, jest. I mogę oświadczyć, że dobry, bo robił go mój sąsiad na miejscu!

Hm! zdarzało mi się wprawdzie słyszeć nieraz, że sąsiedzi bywają trutniami, ale żeby który był pszczołą?...!

Cóż, widocznie w tem cudownem miejscu i to jest możliwe. Tem lepiej!

Mijamy wreszcie wciąż jeszcze oszołomionego właściciela czarnych czereśni i, skręciwszy do parku (jako że jesteśmy „zameldowani osobiście za zezwoleniem zarządu”, „nie przenosimy towarów” i „nie wiemy psów”), siadamy na pierwszej z brzegu ławce. Przed nami altanka z orkiestrą wojskową, za nami—willa zakładowa z fortepianem, wynajmowanym na godziny.

Właśnie jakiś cywil gra jednym palcem i całą stopą marsz pogrzebowy.

Po chwili jednak Mars bez trudu zwycięża Charoną. Szkoda tylko, że w tej dzielnej orkiestrze nie wie sierżant, co robi starszy żołnierz, a starszy żołnierz—co czyni kapral i szeregowiec!

A jednak;

— To jest arja z Trubadura—szepcze w upojeniu jakiś mocno starszy pan do słabo młodej damy—nawet wiem słowa... — i zaczyna nucić.

Wobec czego przenosimy się szybko na dalszą ławkę.

Tu jednak mimowoli stajemy się świadkami wzruszającej sceny:

Młodzieniec w kratkę do panienki w grochy:

— Pani napisze do mnie, panno Halu! błagam! Zaraz jutro pani napisze!

Panienka w groszki—Ale niech pan mi da swój adres.

Młodzieniec w kratkę gorączkowo szuka po wszystkich kieszeniach, znajduje i wyciąga bilet wizytowy i ołówek i wręcza to bogdane: — Proszę pisać: Stanisław Malinowski, Rzeszów.

Panienka—A numer domu? ulica?

Młodzieniec—Och! nie potrzeba—(co za ton!)

Panienka (zdumiona)—Tak pana odnajdą?

Młodzieniec (śmieje się krótko, zwycięsko)

— Mnie? Phil—(z dumą)—Mnie tam wszyscy znają!—(krótka pauza i zmiana tonu) — Poste restante.

Ale oto coraz głośniejsz brzęczą szklane kubki, niesione uroczysto ku pijalni. Ze szklanym głosem kubków mieszają się srebrne głosiki dzieci. Coraz ich więcej, tych dzieci. Małe i duże; cieniutkie, jak faworki i pulchne, jak pączki; ruchliwe, jak pliszki, i niemrawe, jak gąsieniczki:—drepczą, skaczą, pełzają pod opieką mam, bon, cioc, babć, a czasem tatusiów.

Trzeba przyznać, że najszcześniejsze minki mają te bobasy, którym towarzyszy tatuś.

Nie wiem, dlaczego tatuś tutaj bywa miłszy, niż mamusia. Może to tylko też „sezonowo”, ale... co tu ukrywać? Tatuś bardzo rzadko „wtrąca się do nieswoich rzeczy”. Może dlatego, że gazeta tatusia jest szersza od matinejskiej książki i bardziej zasłania? a może... Dużo, że nie zdarza się, aby tatuś od rana do nocy krzyczał cieniem, świdrującym w uszach głosem:

— Tadziu! jak jeszcze raz podniesiesz się z łóżka bez pozwolenia, to będziesz leżał trzy godziny!

Albo:

— Zosiu! jeśli natychmiast nie zjesz zupki, doś staniesz tę samą na kolację!

— Helu! nie siadaj na kamieniu, bo masz nową sukienkę!

Tatuś nie przerywa ślicznej zabawy „w dziką królową” dlatego tylko, że deszcz trochę kapie, i wreszcie nie czyta na głos nudnej książki z powiastkami i nie grozi:

— Misiu! jak jeszcze raz zatkaś uszy, kiedy ja ci czytam, to dostaniesz w skórę!

Tatuś, jak już się rzekło, nie wtrąca się niepotrzebnie. a jeśli coś czasem poradzi, to krótko i rzeczowo:

— Jeśli na drugi raz, Jurku, będziesz spadał ze schodów, to zrób to już z frontowych, bo są pokryte miękkim chodnikiem.

Albo: — Co? Siniaka Rys ci nabił? Pokaż. Phil! I to ma być siniak, ta zwyczajna, mała plamka? Ten Rys nie potrafi, widzę, zrobić prawdziwego siniaka. partacz! Gdybym był tobą, nie bawiłbym się z takim niedołągą.

Tatusiowie są tu najczęściej ciężkimi, szpakowatymi panami, a mamusie — ruchliwymi kobietkami w jedwabnych sukienkach i jedwabnych pończoszkach, których nie można trącać zabłoconymi butkami, lub zatłuszczoną łapką.

Czasami i mamusia jest ociężała i ma pasemka siwych włosów; wtedy jednak nosi satynowy szlafrok i nie mieszka w willi pod matką Boską, tylko pod Świętym Janem.

Te jedne mamusie chodzą co wieczór na dancing i te drugie też. Tylko, kiedy te pierwsze krytykują i tańczą, te drugie przyglądają się i krytykują.

Wogóle sport kwitnie. Nawet tennis. Choć najczęściej zdarzają się biegi: krótkodystansowe, o ile pensjonat jest w samym lesie, długodystansowe—jeśli znajduje się przy gościńcu.

Szybkość tutejszych Nurmich zależy głównie i jedynie od tego, czy, pijąc, pomieszali Celestyna z Klaudją, czy z Tytusem.

Pozatem, jak się już rzekło na początku: spokój, cisza, zieleń i zapach uzdrawiającej wody i dzikich malin.

Maliny jednak już szybko przechodzą, a jeszcze szybciej przechodzą dnie.

Dziś - jutro powieje chłodny wiatr, zawarczy jeden, drugi, trzeci, motor... i miejskie ptaki przelotne odlecają stąd na lotnych skrzydłach benzyny i pary.

Nad pustą, złotą drogą, na zielonem zboczu zostaną tylko ruchliwe, niebieskie plamy spódnic młodych góralek.

Ciemne ich palce w głodnym zamyśleniu zesnuwać będą do fartuchów perły laskowych orzechów.

Rymanów w sierpniu.

Z POWODU NAGRODZENIA PRAC PROF. SKOCZYLASA

Odnaczenie na wystawie Amsterdamskiej prac Władysława Skoczylasa III nagrodą — nie jest przypadkowe. Choć napozór dziwnem może się wydawać to wyróżnienie na wystawie sportowej artysty, który w swych pracach motywów czysto sportowych właściwie nie wysuwa — to przecież tkwi w tem wewnętrzne, głębsze uzasadnienie. Bo wszak nie o temat chodzi: widzieliśmy tysiące obrazów „sportowych” — obrazów, na których piękne kobiety pływają po morzu, jeźdźcy galopują na „śmigłych” rumakach, a myśliwi z zapalem celują w grubego zwierza „wśród dzikich puszczy”. A przecież niema najmniejszej wewnętrznej spójni między temi wszystkimi malowanemi „wyczynami”, a tem, co w sporcie jest najważniejsze: jego duszą, jego istotą.

Zbójnik tatrzański, wypuszczający wśród wysiłku wszystkich mięśni strzałę z łuku — oto jeden z ulubionych motywów Skoczylasa. Surowa powaga wyrazu, gest, zastygły w naprężeniu, a przecież drżący w utajonym dynamizmie; cała postać, przestylizowana w kształt zlekka zgeometryzowany i przez to zmonumentalizowana, — to są zasadnicze elementy większości jego prac — tego typu. Nie jest zabawką dla owego górala moment strzelania z łuku: jest momentem skupienia wszystkich sił, jakeimi w tej chwili rozporządza, momentem dojścia do głosu tajemnych, odwiecznych instynktów, które, zapomniane, drzemią w piersi każdego nowoczesnego człowieka. I tu jest moment zbliżenia, łączności między „archaizowaniem” obrazami Skoczylasa, a sportem XX wieku — lub tem właściwie, czem ten sport być powinien. Albowiem sport — to tylko jedna z możliwości całkowitego wyżycia się człowieka — jedna z możliwości wy-



„Łucznik” — akwarela prof. Władysława Skoczylasa, nagrodzona na wystawie olimpijskiej w Amsterdamie.

rzucenia się niejako całym rozpędem w powietrze poprostu „wyjścia z siebie” i zbratania się przez to z wiecznością — do czego tak bardzo wszyscy dzisiaj tęsknimy. A to właśnie przyczajone pragnienie tchnie z niektórych — nie wszystkich — prac Skoczylasa.

Przedewszystkiem — z jego drzeworytów. Drzeworyty są tą dziedziną, w której artysta najlepiej potrafił oddać tę właśnie utajoną siłę, tę buńczuczną pewność siebie — że to się ma przecież stalowe mięśnie, nieomyłne gesty! — jaka zdaje się ponosić jego „ludowych” bohaterów. Ta ludowość ma tu swoje głębsze uzasadnienie: wypływa nietylko ze specjalnego umiłowania rodzinnej, góralskiej „strony” — lecz przede wszystkim uwarunkowana jest owem dążeniem do uproszczenia, które jest pierwszą zasadą monumentalności. Monumentalności — także, jeżeli chodzi o formę. Jakże świetnie nadają się te dzikie, sprężyste, półnagie postacie do takiej właśnie transpozycji! A surowa, pracowita technika drzeworytu zdaje się tu być wyjątkowo pomocna. Właśnie to operowanie dwoma tylko tonami, ta przymusowa oszczędność barwna — i ta pewna chropowatość, suchość formy, jaką technika drzeworytnicza narzuca — tu są doskonałym środkiem w osiągnięciu zamierzonego przez artystę celu.

To też może nas cokolwiek zaskoczyło wyróżnienie na wystawie amsterdamskiej właśnie nie drzeworytów — lecz prac akwarelowych prof. Skoczylasa.

W każdym razie decyzję komitetu konkursowego możemy przyjąć z uczuciem zasłużonego zadowolenia

l. j.



„Łowy Janosika” — jedna z akwarel prof. Władysława Skoczylasa, odznaczonych na wystawie olimpijskiej w Amsterdamie.

DOŻYNKI W SPALE

Tegoroczne dożynki w Spale stały się olbrzymiem świętem polskiego ludu rolniczego. Czterdzieści tysięcy ludzi, obozujących w lesie spalskim, karnie wiążących się w parokilometrowy wąż pochodu, lub skupiających się w malownicze grupy na stadjonie przy składaniu wieńców; trzydniowe tańce, widowiska, zawody sportowe, w których ani deszcz ulewny, ani zmęczenie daleką nieraz drogą nie mogły zgasić iście dożynkowej ochoty; malowniczy zamęt prastarych sukman, gorsetów, zapasek, czepców, całego tego, ocalonego od zagłady przez czas i miejski obyczaj, przyodziewku,—to wszystko, rzucone na głębokie tło ciemnej leśnej zieleni, stanowiło nietylko niezapomniany, „bajecznie kolorowy”, niepokojący w swej żywiołowej ruchliwości obraz, ale było jeszcze jednym dokumentem kultury naszego ludu, głęboko zakorzenionej w po-



„Wesele Krakowskie” w tańcu przed p. Prezydentem



Wnuk p. Prezydenta Jurek Zwistocki i Krysia Jurgielewiczówna, córka adjutanta Prezydenta Rzeczypospolitej, w strojach ludowych

dłożu życia ogólnie narodowego, a rozrastającej się nad podziw w słońcu niepodległości.

Ideowym wykładnikiem całej uroczystości była pełna prostoty i konkretnej treści mowa Prezydenta, w której podkreślił doniosłe znaczenie organizacji społeczno rolniczych dla kultury kraju i wzmocnienia państwowości.

Poraz pierwszy wzięły udział w obchodzie t. zw. „zielone koszule”, związki młodzieży wiejskiej—przyszłość ludu naszego, świadcząca już dziś chlubnie o swym zdrowiu moralnym i fizycznym. Pozatem licznie reprezentowane były dalekie Kresy wschodnie i zachodnie: białorusini i poleszuki w łapciach i płótniankach, ukraińcy w szarawarach, ślązacy, wielkopoleanie i rybacy kaszubscy, o spalonych wichrem morskim, jakby z brązu wykutych twarzach.

Poszczególne grupy wykazały dużą świeżość w pomysłach. Ludowa kapela z Sieradzkiego (harmonje i skrzypce) witana była z równym entuzjazmem przez widzów, jak konna banderja z Lubochni, lub symboliczny burak i kartofel z Poznańskiego, z dokładnym wyszczególnieniem ilości produkcji.



KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

„DŹWIGNIA”

Chrześcijański Związek rękodzielniczek „Dźwignia” obchodził dn. 15 sierpnia uroczystość, która jasnym wspomnieniem zapisała się w pamięci uczestniczek. Związek, założony w r. 1906, skupia pracownice igły, roztaczając nad nimi opiekę siostrzaną, dając możność wykwalifikowania się fachowego, pośrednictwo pracy, rozrywkę kulturalną i wypoczynek letni.

Podstawą materialną Związku jest szwalnia bielizny (Nowy Świat 61) i sklep na Wielopolu. Szwalnia przyjmuje zamówienia na wszelkiego rodzaju roboty bieliźniarskie i krawieckie: szyje ubranka dla uczniów szkół zawodowych, fartuchy, płaszcze lekarskie, biurowe, ubrania robotnicze, oraz eleganckie wyprawy bieliżniane, które wykonuje artystycznie. Obecnie posiada już 4 maszyny elektryczne do szycia, co zwiększy szybkość wykonywania zamówień. Przy szwalni od 15 września rozpoczną się kursy kroju i szycia w przerobionym i odświeżonym lokalu.

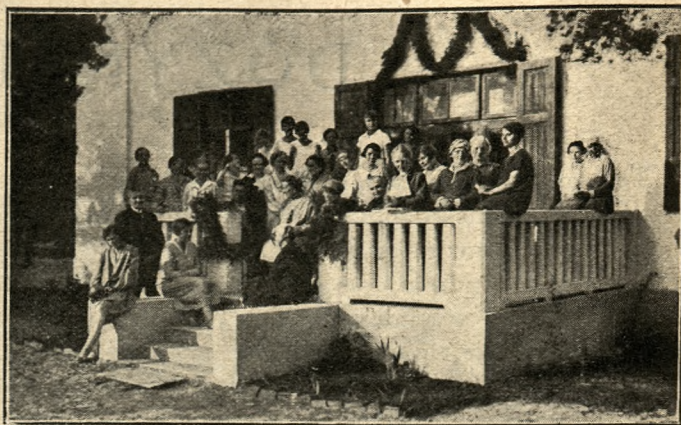
Sekcja kulturalno-oświatowa również rozpocznie znów swoją akcję, która w roku ubiegłym wykazała się cyfrą: 20 odczytów o charakterze naukowym, 2 przedstawień amatorskich, 9 koncertów wokalo-muzycznych, 8 wycieczek.

Pomoc koleżeńska otacza opieką członkinie bezrobotne, które otrzymują bony obiadowe, pielęgnację w razie choroby; wyczerpane pracą są wysyłane na letniska.

Już w r. 1907, dzięki ofiarności p.p. Kurtzów z Otwocka, Związek był w możności, na ofiarowanym sobie placu w Anielinie pod Otwockiem, wystawić domek drewniany (przenośny), który po 7 latach spłonął doszczętnie. Czasy wojny—ciężkie dla „Dźwigni”—nie pozwoliły na odbudowę, i dopiero w r. 1925, w marcu, położono kamień węgielny pod nowy, murowany budynek. Dzięki wpływom z czterokrotnie urządzanych w Warszawie kwest ulicznych, które dały 8.000 zł., oraz pomocy, jaką dał Bank Gospodarstwa Krajowego, dom stanął szybko. W ubiegłym roku korzystało z letniska 98 członkiń w ciągu 4 miesięcy, w okresach 2-tygodniowych. Mieszcza się tam 2 sale po 15 łóżek i 2 pokoje mniejsze, oraz wszelkie potrzebne ubikacje. Na zewnętrznej małej werandzie wy-murowano kapliczkę, do której obraz Matki Boskiej Częstochowskiej ofiarowała p. d-rowska z Kurtzów Wisłocka.



Letnisko „Dźwigni” w Otwocku



Letnisko „Dźwigni” w Otwocku: na werandzie

Poświęcenie obrazu dn. 15 sierpnia ściągnęło liczny zastęp gości z Warszawy i okolicy. Po Mszy św., odprawionej przez proboszcza przed nowym ołtarzem, odbyła się akademja, rozpoczęta serdecznymi słowami księdza, wzywającego do ufności w opiekę Królowej Korony Polskiej. Następnie p. J. Witkowska dała zarys historyczny powstania Niepodległej Polski. Deklamacje i pieśni chóralne urozmaiciły uroczystość.

Z. Zaleska.

REKORD KOBIET JAPONSKICH W LEKKIEJ-ATLETYCE

Jak znakomicie wpływa uprawianie sportu na rozwój fizyczny młodzieży, stwierdza przykład Japonji. W kraju tym, pomimo jego odwiecznych tradycji rycerskich, sport był dotychczas zaniedbany. Dopiero po wojnie zaczął się jego rozwój, i w ciągu 10 niespełna lat skonstatowano, że mały wzrost japończyków uległ ogromnej, jak na tak krótki przeciąg czasu, zmianie. Młodzież, którą podano pomiarom antropologicznym w roku bieżącym, wykazała różnicę 2½ centymetra wysokości więcej, niż młodzież, mierzona przed wojną. I to zarówno chłopcy, jak i dziewczęta; obecnie, bowiem, szkoły żeńskie w Japonji mają świetnie zorganizowane koła sportowe.

Celują zwłaszcza japonki w lekkiej atletyce, w biegu i skokach. Szesnastoletnia panna Fumiko Terraro zdobyła światowy rekord szybkości w biegu na przestrzeni 100 metrów. Nieco starsza od niej panna Kinae Hitomi zdobyła również rekord w skoku na odległość.

Piłka nożna nie jest w Japonji faworyzowana: japończycy uważają tę grę za zbyt brutalną. Zato namiętnie oddają się baseball'owi, wprowadzonemu przez misjonarzy amerykańskich. N. J.

TRZY JAPONKI CHCĄ PRZELECIEĆ OCEAN SPOKOJNY

Trzy Japonki-lotniczki przygotowują się do lotu przez Ocean Spokojny, z Tokio do San-Francisco.

Pilotką tej wyprawy ma być panna Keigen-Boka, która poleci z towarzyszkami: p. Teiki-Li i Tyoko-Yone-Yama. j. k.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Pani E-ju—Kraków. Za nadesłany artykuł dziękujemy; nie możemy go jednak umieścić z tego powodu, że niejednokrotnie na łamach „Bluszcza” i „Kultury Ciała” podobne zagadnienia były poruszane.

Pan J. Musz.—Lwów. Za słowa uznania serdecznie dziękujemy, wierszy jednak nie będziemy mogli wydrukować ze względu na wielką ilość posiadanych utworów poetyckich, czekających swej kolei.

ZAWODOWE WYKSZTAŁCENIE KOBIET

Biurowość

Wcalebym się nie zdziwiła, gdyby mi Szanowne Czytelniczki gremjalnie zarzuciły pewnego dnia, że moje artykuły zaczynam zawsze od „Adama i Ewy”, czy nawet od „stworzenia świata”. Cóż robić! taka już ze mnie gaduła i do tego niepoprawna, bo właśnie i dziś chcę powiedzieć kilka słów o tych, poniekąd już historycznych „aniołkach biurowych”, tak licznych, szczególnie na początku samodzielności Państwa Polskiego. Wszystkie biura państwowe i komunalne, wszystkie ministerstwa, wszystkie prywatne instytucje—aż się roiły od przeróżnych dziewczątek, będących bezsprzecznie ozdobą biur, ale nie mających pojęcia o robocie. Obecnie cokolwiek zmieniło się na lepsze: „aniołki” stały się legendą, piosenką kabaretową, dobrym dowcipem—owszem, to jest nawet miło—ale stały się również kamieniem, rzucanym pod nogi całym rzeszom kobiet, poszukujących pracy—co już jest bardzo smutne! Z tych dawnych, bowiem, czasów świeżej gospodarki młodego państwa, gdy z jednej strony do biur przyjmowano element wszelaki, z drugiej zaś — z powodu ciężkich warunków materialnych, do pracy biurowej, jakoby najłatwiejszej, garnał się, kto żyw—utarło się, że kobiety pracują źle. I rozpoczęły się masowe redukcje i wprowadzanie do biur elementu męskiego. Obecnie sytuacja przedstawia się w ten sposób, że najchętniej do biur przyjmują mężczyzn, a od kobiet wymagają przeważnie specjalizacji, od pisania na maszynie i stenografii wzwyż. I dlatego praca biurowa, na którą się przedtem patrzyło, jak na drogę najmniejszego oporu, stała się czemś, co należy zdobywać nie tylko protekcją, ale i odpowiednim cenzusem naukowym. Prawda, są biura i instytucje, które przyjmują biuralistki ad hoc, bez odpowiednich kwalifikacji, lecz tego rodzaju posady są zazwyczaj tak lichy płatne, że, doprawdy, gra nie warta świecy.

Praca biurowa w swej specjalności nie stanowi jednej bryły, lecz dzieli się na wiele poszczególnych, często bardzo się różniących, gałęzi. Zasadniczo można oddzielić pracę w przemyśle od pracy w handlu, a tę znów—od pracy w urzędach państwowych i komunalnych. Całokształt pracy biurowej dają wyższe szkoły z typu handlowych, które istnieją we wszystkich większych miastach Polski. A więc:

Warszawa: Wyższa Szkoła Handlowa, mieszcząca się przy ul. Rakowieckiej. Kurs trwa 3 lata. Szkoła ta posiada wydziały: handlowo - bankowy, skarbowy, konsularno - dyplomatyczny, ubezpieczeniowy, spółdzielczy i pedagogiczny.

Lwów: Wyższa Szkoła dla Handlu Zagranicznego (ul. Bonidarda 5). Jest to również szkoła prywatna, ale bez praw.

Poznań: Wyższa Szkoła Handlowa (ul. Marcina 3.) Działy: handlowy, bankowy, ubezpieczeniowy, konsularny, spółdzielczy i pedagogiczny. Kurs trwa 3 lata.

Kraków: Wyższe studjum handlowe.

Prócz tego mamy jeszcze w Warszawie szkołę o specjalnym charakterze, a mianowicie Szkołę nauk politycznych. W szkole tej kurs trwa dwa lata, dzieli się ona na wydziały: polityczny, społeczny, administracji państwowej i komunalnej, finansowy i ekonomiczny.

Wszystkie te szkoły należą do typu szkół wyższych i wymagają matury. Są one prywatne, a jedna tylko W. S. H. w Warszawie rozporządza prawami szkół państwowych. Czesne wynosi około 300 złotych.

Oprócz szkół handlowych wyższych istnieje jeszcze pewna liczba liceów i szkół średnich tego typu.

W liceach handlowych kurs trwa 2 lata i wymagane jest 6 klas szkoły średniej.

A więc mamy: w Bydgoszczy (Nowy Rynek 8)—koedukacyjne Liceum Handlowe; w Poznaniu (ul. Wrocławska 17); w Radomiu (ul. Lubelska 4)—Liceum Handlowe Żeńskie; w Tarnowie (ul. Piłsudskiego 17) i w Warszawie (Nowogrodzka 58)—Liceum Handlowe Żeńskie Jankowskiej - Statkowskiej.

Kurs w szkołach średnich handlowych trwa 2—3 lat. Wymagane jest 6 klas szkoły powszechnej, albo 3 klasy szkoły średniej. Szkół takich jest sporo, a mianowicie: Łódź (Cegielniana 70)—Państwowa Szkoła Handlowa Żeńska.

Kalisz (ul. Wrocławska 10) Szkoła Handlowa Żeńska.

Kraków (Seminarjum Św. Anny) Trzyklasowa Szkoła Handlowa Żeńska.

Sosnowiec (ul. Dęblińska 11) Szkoła Handlowa Żeńska.

Warszawa (Hortensja 2) Szkoła Handlowa Wiczorna Żeńska.

Warszawa (Szeroka 38) Szkoła Handlowa Żeńska.

Warszawa (Marszałkowska 80) Dwuletnie Kursy Handlowe T. Raczkowskiej.

Szkoły koedukacyjne:

Biała (ul. Św. Jana 13) Szkoła Handl. Państwowa.

Przemyśl (ul. Dworskiego 25) Szkoła Handlowa Państwowa.

Włocławek (ul. Starodępska 39) Państwowa Szkoła Handlowa.

Bydgoszcz (ul. Konarskiego 8) Miejska Szkoła Handlowa.

Lwów (ul. Franciszkańska 9) Szkoła Handlowa.

Piotrków (Pasaż Rudowskiego 22) Miejska Szkoła Handlowa.

Poznań (Podgórna 12) Miejska Szkoła Handlowa.

Siedlce—Szkoła Handlowa.

Warszawa (Pl. Żelaznej Bramy 10) Szkoła Handlowa.

Zbąszyń—Szkoła Handlowa.

Oprócz tych szkół istnieje jeszcze w Polsce cały szereg kursów handlowych. Z żeńskich kursów mamy: w Bydgoszczy (Nowy Rynek 8) Roczny Kurs Handlowy Żeński, we Lwowie (Wałowa 25) Roczny Kurs Handlowy i w Warszawie (Marszałkowska 8) Roczny Kurs Handlowy T. Raczkowskiej.

Kursy koedukacyjne:

Bydgoszcz (Konarskiego 8) Kursy Handlowe.

Częstochowa (Szkolna 5) Kursy Handlowe.

Grudziądz—Kursy Handlowe.

Kalisz (Kościelna 13) Kursy Handlowe.

Kraków (Kapucyńska 2) Kursy Handlowe.

Lwów (Skarbkowska 39) Roczny Kurs Handlowy.

Łódź (Cegielniana 70) Kursy Handlowe.

Łódź (Sienkiewicza 6) Kursy języków i nauk handlowych.

Poznań (Rycerska) Kursy Handlowe.

Warszawa: Św. Krzyska 17 — Kursy Handlowe Gr. Pyrka; Żorawia 42—Kursy Handlowe Sekułowicza; Hortensja 2—Kursy Nauk Ekonomicznych i Handlowych; Królewska 35—Kursy Księgowości Chankowskiego; Wspólna 24—Kursy Handlowe Łebkowskiego; Wilno—2-letnie Kursy Ekonomiczno-Handlowe.

Oczywiście, nie wyliczam tutaj absolutnie wszystkich kursów handlowych, istniejących na terenie Polski; znajdują się one prawie we wszystkich miastach i miasteczkach, więc zadowolniłam się tylko wyliczeniem najważniejszych ośrodków.

Poza samą nauką handlu i biurowości istnieją jeszcze nauki, a raczej umiejętności pomocnicze, którymi są: nauka języków obcych, pisanie na maszynie i stenografii. Wiemy wszyscy dobrze, jak przyzwoicie zarabiają wszelkie stenotypistki, czy daktylografki, szczególnie, władające kilkoma językami.

Kursów stenografii, pisanie na maszynie i języków jest dużo, ale nie wszystkie stoją na wysokości zadania. Mamy w Krakowie (Retoryka 1) Kursy jęz. obcych I. M. C. A; w Poznaniu (Poznańska 28) Kursy stenografii i pisanie na maszynie; w Radomiu (Skaryczewska 32) Kursy jęz. obcych; w Warszawie (Krucza 26) Kursy stenograficzne Wojnara; Kursy jęz. obcych (Hotel Europejski) Amblarda i Deb'a, oraz w Wilnie (Zawalna 60) Kursy językowe Lingua.

Pozatem wszędzie wiele różnych tego rodzaju kursów i „kursików”. A wszędzie jest pełno. Praca w biurze jest przeważnie jedyną ucieczką istot, pozbawionych wybitnych zamiłowań, czy zdolności. Jest to jednak pewnego rodzaju pomyłka. Zawsze lepiej jest znaleźć w sobie jakieś wyraźniejsze upodobanie i temu się poświęcić. Biuro wyczerpuje, nie daje prawie żadnej satysfakcji i... praca kobiet na tym terenie jest może najbardziej wyzyskiwana. Chyba, że kto ma zdolności do... kariery dyplomatycznej. Niechaj próbuje — istnieje już gdzieś przecie kobieta minister.

Zofja Miszewska.

KWIATY I „KWIATKI“

Barwna jesień znaczy swą obecność pękami wszelkiego ziela, wychylającemi się z koszu kwiaciarek na każdym niemal rogu ulicy. Pora najbardziej chyba dekoracyjnych kwiatów: georginij, astrów, złocieni, zini, mieczyków—prostu, wyliczyć trudno. Niestety! równocześnie z nimi kwitną takie „kwiatki” złego smaku, że aż mówić o nich przykro. Kwitną one zresztą i w innych porach roku, przybierając postać i nazwę różnych gatunków botanicznych — posiadają zaś jedną cechę wspólną: — są farbowane.

Na wiosnę są to drobne, białe kwiateczki łąkowe, którym kazano przez całą noc pić burakową i grynszpanowo-zieloną farbę, aby od rana temi wytworami sztuki ludowej częstować spragnionych wiosny mieszczuchów.

Teraz są wrzosi. Wrzosi, od czubka do korzonków, z listkami i nawet ze sznurkiem, związanym bukiet (żeby było wszystko do koloru), umaczone w amarantowej anilinie.

Osobieście uważam, że zarówno wrzosi, jak owe zatrutowane aniliną, białe kwiatki, nawet w swej naturalnej postaci nie mają żadnej wartości dekoracyjnej i są ładne tylko w miejscu, na którym rosną.

Żadnego z tych kwiatów nie użyję do ozdoby swego mieszkania — wiem jednak, że wiele osób je lubi i co jesień napełnia wazoni wrzosem.

De gustibus non est disputandum — kopji o to kruszyć nie będę.

Natomiast jestem zupełnie pewna, że takie poprawianie Pana Boga i farbowanie kwiatów nic a nic ich dekoracyjności nie podniesie. Rezultat tych „artystycznych” zapędów jest taki, że trudno go jakimś parlamentarnym słowem określić, i chyba nikomu podobać się nie może.

A jednak...

Mówią ekonomiści, że istnieje pewna zależność podaży i popytu; że towar, który nie znajduje nabywców, znika z rynku, a zjawia się taki, który cieszy się większym powodzeniem.

Za moich lat dziecinnych (nie powiem dokładnie, kiedy to było — ale tak trochę przed wojną) można było z łatwością dostać u włościanek na ulicy i na rynku wrzos niefarbowany. Teraz niech kto spróbuje znaleźć!

Ktoś więc to kupuje — ale kto?

Zastanawiałam się nieraz nad tem i przyznaję, że nie mogłam dociec. Wiem, że nie kupują mężczyźni, ci bowiem nie kupują kwiatów na ulicy. Są ostrożni. Uważają, że jeśli ludziom, nieposiadającym doświadczenia jubilerskiego, farmazoni wmawiają szkiełka zamiast brylantów, to kogoś, niebardzo pewnego swoich wiadomości botanicznych, może spotkać podobna przygoda z kwiatkiem. Dlatego kupują tylko w kwiaciarniach. Zresztą, mężczyzna zwróci uwagę tylko na

kwiat biały, albo czerwony (z rozróżnianiem innych kolorów bywa słabiej)—wrzos zaś nie jest ani biały, ani czerwony. Wynikałoby więc z tego, że kupują kobiety.

Ale przecież kobieta, istota znacznie subtelniejsza od mężczyzny, przez naturę obdarzona pewnem poczuciem estetyki i wrażliwa na barwy—nie kupi czegoś tak szkaradnego w kolorze, jak farbowany wrzos!

Zresztą to przypuszczenie potwierdziła obserwacja, gdyż w żadnym z moich znajomych domów farbowanych kwiatków nie spotkałam. Nie posądzam też o popieranie tego farbiarskiego procederu żadnej z czytelniczek „Bluszczo“, ale... może mi kto wyjaśni stosunek między wspomnianą zasadą ekonomji, poczuciem estetycznem kobiet i tą burakową szkaradą?...



WSPÓŁCZESNE GOTOWANIE

Gotując na gazie lub nafcie, należy zachować pewną kolejność, do czego powinien dopomóc zmysł orientacyjny samej pani, lub kucharki. Gotując na blasze, lepiej jest rozpaścić odrazu duży ogień, aby wyzyskać jednocześnie fajerki i piecyk. Węgla lub drzewa przez to więcej nie wyjdzie, gdyż nie trzeba będzie wciąż go dokładać. Osoba gotująca, po przyrządzeniu wszystkiego, może tylko dozorować rondli i patelni. Obiad z zupy (nie rosół), mięsa, jarzyny i nieskomplikowanej leguminy, przy takim systemie, powinien być ugotowany w godzinę czasu. Oczywiście, rozmaite nasze narodowe potrawy: bigosy, flaki itp. nie dadzą się tak prędko udusić. Można je gotować przez dni kilka, wykorzystując jeszcze przez jakąś godzinę ciepło, pozostałe w piecyku. To kilkakrotne dogotowywanie nawet korzystnie wpłynie na ich smak.

Słyszę, jak Czytelniczki w tej chwili groźnie mnie zapytują: „A rosół, przecież rosół powinien się gotować najmniej trzy godziny?” Odpowiem na to, że niekoniecznie powinniśmy wciąż jadać rosół z wołowiny. Rosół z cielęciny, z młodego drobiu, z baraniny i wieprzowiny doskonale się gotuje w godzinę. Zresztą, poza rosółem są szeregi potraw, potrzebujących długiego pieczenia, duszenia, wysadzania, więc starajmy się ich używać jaknajrzadziej.

Jeżeli wspomniałam o flakach i bigosie, to właściwie dlatego, że są one często używane w skromnej, gospodarskiej kuchni, o której dzisiaj mówię. Francuzi, ogromnie wyrachowani, gotują rosół „pot-au-feu“ raz na tydzień, przeważnie w niedzielę, uważając, że długość jego gotowania robi go potrawą kosztowną. Gotują go odrazu na dni kilka, nietylko zimą, lecz i latem. Należy go starannie scedzić z jarzyn i codziennie rano raz zagotować, a nie skwaśnieje.

Włoska kuchnia, z której niewiele wzięliśmy, ma taki sam rosół „il brodo“, gotowany na dni kilka i słu-

żący za podstawę do różnych zup, przeważnie zasypanych różnego rodzaju makaronem.

Przy dyspozycji obiadów należy uwzględniać czas, potrzebny na przygotowanie poszczególnych potraw. Naprzykład w obiedzie, w którego skład wchodzi kołduny, pierożki z serem, lub inne dania, potrzebujące drobiazgowego wykonania, nie należy obstałowywać pasztecików, łuskanego groszku, szpikowanej zwierzyny, lub nadziewanego drobiu. Każda gospodyni musi sobie sama skombinować, jakie dania wymagają więcej czasu do ich przyrządzenia i będzie się starała, jeżeli nie zupełnie ich uniknąć, to w każdym obiedzie lub kolacji stosować tylko jedną taką potrawę. Najprędzej się przyrządza wszelkie mięsa smażone: befsztyki, rumsztyki, antrykoty, sznycle, kotlety bite cielęce, baranie, lub wieprzowe. Baranina, cielęcina, wieprzowina i młody drób bardzo prędko się gotują, to też do bardzo wskazanych w oszczędnej kuchni dań należą wszelkie z nich potrawy z rozmaitemi sosami, tem praktyczniejsze, że jednocześnie możemy mieć z nich i zupę. Chcąc mieć te same mięsa pieczone, musimy je raczej udusić w żelaznym garnku, kamiennej rynce, lub chociażby w zwyczajnym rondlu—kilowy kawałek jest gotów w pół godziny, a smakiem niewiele się różni od pieczonego pod blachą, gdzie—niezależnie od większej ilości zużytego paliwa — na upieczenie go potrzebaby więcej, niż godzinę. Polędwica i schab, po zdjęciu z kości, doskonale dają się upiec w aparacie „Prodige“; ponieważ aparat ten ma ruchomy ruszt, można te mięsa upiec w nim tak smacznie, jak na rożnie.

Bardzo prędkie do przyrządzenia są wszelkie ryby. Czy to gotowane, czy smażone, czy duszone — dają się przyrządzić zawsze w kilkanaście minut. Jarzyny młode gotują się też bardzo prędko; wszelkie ich długie duszenie, podprawianie mąką, cukrem, mlekiem itp. smak ich tylko psują. Świeże masło, włożone na chwilę przed podaniem, jest jedynym smacznym do nich dodatkiem. Większość potraw mącznych, wszelkie kluski, knedle, racuchy, blinki itp. można wykonać bardzo prędko. Tak samo wszystkie potrawy z jaj. Z legumin gorących nieco więcej czasu wymagają budynie, jednak i te, o ile nie są bardzo duże, przeważnie w półtorej godziny ugotować można. Zanim się więc zje zupę, mięso i jarzynę—budyń będzie już gotów. Omlety się robi napoczekaniu, suflety piecze się około 20 minut. Z zimnych legumin: kompoty, kisielki, galarety i „blanc-manger“ jeszcze mniej od innych legumin wymagają czasu; należy tylko zawsze naprzód obmyślić, co mamy zamiar podać, aby roboty były wykonane w odpowiednim czasie.

Pozostaje jeszcze kwestja najważniejsza przy oszczędnem gotowaniu: — kwestja dokładnego obrachowania, co dany posiłek ma kosztować i zastosowanie go do tego, co wydać nań możemy. Będąc najważniejszą może, nie da się ona, niestety, ująć w ramy niniejszej pogadanki.

Pani Elżbieta.



BOCZEK WIEPRZOWY W POTRAWCE

Coraz bardziej rosnąca drożyzna produktów mięsnych zmusza nas do coraz umiejętniejszego i oszczędniejszego wykorzystania każdego kawałka. Wiele rzeczy, które się dawniej wyrzucało, naprzykład mięso przy kościach, dziś się skrzętnie zbiera i przerabia na pierożki, paszteciki i t. p. Toż samo dawniej, kiedy dawano kilka dań mięsnych przy jednym obiedzie, mięso z zupy wkładało się do zupy tylko; teraz, gdy z jednej strony konieczność materialna do tego nas zmusza, z drugiej—przepisy lekarskie zabraniają używać dużych ilości mięsa, musimy się starać przyrządzić każde mięso gotowane na drugie danie możliwie smacznie i urozmaicając sposoby jego podania.

Otóż świeży boczek wieprzowy (należy brać zawsze jaknajbardziej przerastały, aby nie składał się z samego tylko tłuszczu), ugotowany w smaku na kapuśniak, barszcz, zupę pomidorową, cytrynową, czy inną—mówię—w smaku—gdyż w samej zupie, już zaprawionej, nie powinien ani chwili pozostawać, aby się nie przejąć smakiem i aromatem kapusty, pomidorów i t. p.—możemy użyć z rozmaitemi sosami na potrawkę. Najodpowiedniejszymi jarzynami do takiego boczku są: kartofle tłuczone, lub lepiej purée kartoflane, zaprawione dobrze masłem i mlekiem; fasola biała cukrowa, lub perłowa, dobrze ugotowana; kapusta włoska, ugotowana w ćwiartkach, bulwa włoska i kasza jęczmienna, dobrze rozklejona. Oprócz znanych sosów: chrzanowego ze śmietaną, rumianego cebulowego, lub rumianego z korniszonami, czy z kaparami, pomidorowego, musztardowego i szczypiorkowego—wybornym

jest do boczku sos ogórkowy. Duży, twardy, kiszony ogórek obrać, pokrajać w plasterki. Łyżkę masła zasmażyć z łyżką mąki na białe, rozprowadzić czystym rosołem z wieprzowiny, wrzucić ogórek, zagotować raz, dodać łyżeczkę świeżego, lub suszonego koperku, drobno usiekanego, łyżkę sporą śmietany; włożyć w to pokrajany zgrabnie boczek, potrzymać w sosie minut dziesięć, nie gotując, i wydać, obłożony którąkolwiek z wyżej wymienionych jarzyn.

DOBRA SAŁATA JESIENNA MIĘSZANA

Sporą główkę kapusty czerwonej uszatковать, sparyć wrzątkiem, przykryć, potrzymać pod przykryciem pięć minut, zlać na sito, osolić, posypać cukrem, skropić dobrym octem, mieszać drewnianą łyżką, aż nabierze ładnego koloru. Oddzielnie wziąć ćwierć kilo dobrej, białej, cukrowej lub perłowej fasoli, namoczyć na dwanaście godzin w zimnej wodzie, ugotować na miękko; dopiero gdy zupełnie miękka, posolić, potrzymać w wodzie, aż ostygnie, aby nie była zbyt sucha. Zlać wodę dopiero przed samem zaprawieniem sałaty. Nakoniec ugotować duży seler, lub dwa mniejsze, obrać z łupinek, pokrajać w cienkie, spore plasterki. Na salaterce ułożyć rzędami kapustę, selery, fasolę, zalać wszystko dobrą oliwą; gdyby było mało kwaśne, dodać octu. Niech tak przyrządzone postoi parę godzin przed podaniem. Sałata ta jest odpowiednia do rozbeifu, sztufady, pieczeni wieprzowej, zająca, cietrzewia, cielęciny, a nawet do każdego drobiu.

ICE-PIPERMINT

Zielony likier miętowy podaje się w czasie upałów w sposób następujący. Trzy ćwierci szklaneczek szampanek (należy dobrze je ostudzić, aby lód nie topniał) napełnić drobno utłuczonym lodem, wlać na to po sporym kieliszku likieru i pić wolno przez słomkę. Jeszcze lepszy i bardziej orzeźwiający jest ten napój, jeśli oprócz likieru nalać na lód sok, wyciśnięty z pół cytryny.

Pani Elżbieta.

„WINA OWOCOWE“

KSIAŻECZKA TA UCZY WYROBU WIN SPOSOBEM
DOMOWYM Z OWOCÓW I JAGÓD

Cena 1 zł. 50 gr.
z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, War-
szawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności
przekazem, lub w znaczkach pocztowych.
Za zaliczeniem nie wysyłamy.

LABORATORJUM

HIGJENICZNYCH KOSMETYKÓW

podług przepisów Dr. J. ŚWITALSKIEJ

Płyn na wzmocnienie włosów. Jajeczka do mycia włosów. Galaretka na łupież. „Mój krem“ przeciw zmarszczkom „Mój puder“, Krem cytrynowy. Krem pomarańczowy. Galaretka na rozszerzenie porów i łojotok. Perełki do pielęgnacji twarzy i biustu. Maść przeciw odmrożeniom. Mydła cytrynowe, poziomkowe, lilowe i ziołowe. Różne higieniczne. Maski na twarz. Maść na piegi. Krem śmietankowy suchy. Krem orzechowy na opalenie się.

HIGJENICZNE KOSMETYKI — KRUCHA 31, m. 3.

Na prowincję wysyłka za zaliczeniem.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocz-
nie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“—Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O.—Warszawa 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40.
Druk, Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Pymarska 8, tel. 244-18